№ 33. Warszawa, dnia 3 (15) Sierpnia 1874 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia Nr 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

NOWE MARNOTRAWSTWO.

(Dokończenie,)

Młodzież zatem u nas za wcześnie bierze się do pióra, i skutkiem tego, jedni więcej utalentowani, choćby z pewnemi zasobami wiedzy, prędko się wypisują i giną: drudzy przechodzą w szeregi licznych tłomaczy, których obecnie aż do zbytku posiadamy. A jednak pomiędzy tą młodzieżą tak wcześnie rwącą się do pióra, okazywały się pobłyski nieposolitych talentów, wróżących wiele o ich przyszłości. Gdzie się podziały, co zrobiły mającego prawo wejść do historyi literatury ojczystéj? Przepadły, zmarniały; uczuwszy się w sile, przemówiły chwilowo i umilkły, bo im brakło zasobów do dalszej twórczości przez naukę i czas zdobywanych. Marnotrawstwo to niepowetowane, nazwaliśmy je nowem, bo dotąd było nieznanem.

A kto na tem traci?

Wszyscy!

Marnotrawca talentu sam przez siebie, społeczność pośrednio przez nieodnoszenie korzyści, jakieby mogła z niego otrzymać. Gdy wszyscy uzdolnieni np. na budowniczych lub doktorów, dziwnym zbiegiem okoliczności wymierali, zostawaliby naturalnie sami partacze, a dobry doktor lub budowniczy musiałby być sprowadzonym z zagranicy. Coś podobnego dzieje się obecnie z naszą literaturą. Starych dawnych literatów z uznaną zasługą coraz ubywa, młodych przybywa mało, a że potrzeba czytania wzrasta i piśmiennictwo się rozszerza, mając niewielu prawdziwie twórczych pisarzy, ratujemy się tłómaczeniami i to najczęściej tandetnie wykonanemi. Pożytek z tego mały, a często bardzo szkodliwy, bo tłomaczenia lub kompilacye z prac obcych wtenczas tylko są pożądane, jeżeli postęp obcy łączą z własnym. Ten przymiot kompilatorom i tłómaczom daje tak zwana wytrawność na własnym zdobyta gruncie; gdy jej nie ma, praca takich pracowników staje się podobna do rośliny z pod obcej strefy w naszą przeniesionej i gwałtem do uprawy namówionej. Nieudanie się, to owoc podobnych usiłowań, a strata czasu, sił, zdolności, dobrych chęci, lub nawet zachwiania się w pojęciach, prostem następstwem.

Marnotrawstwo to najpiękniejszych wytrysków społecznego ducha, znających je tak blizko, jak my znamy, do rozpaczy niemal przywodzi. I co to będzie dalej, pytamy sami siebie? Co się stanie z literaturą naszą, gdy za parę dziesiątek lat zniknąowi tak zwani starzy literaci, a tak dziś pogardzani i poniewierani? Wprawdzie wyrobi się pewien zastęp nowych, ale o wieleż więcej przybyłoby ich, gdyby dziś nie wychodzili na marność. A jest takich niemało, jedni giną z braku zasobów wiedzy, nadających talentowi polot i rozszerzających zakres jego myśli, drudzy z zupełnej niedojrzałości, z nierozwinięcia nawet skrzydeł do lotu natchnienia swego literackiego. Pierwsi giną w powodzi dziennikarstwa, drudzy w zniechęceniu i zupełnym upadku ducha, w obu zaś razach gaszą w sobie iskry daru Bożego, na to danego, aby przysposobieni przez pracę i czas, zagorzali z czasem światłem tak dla całego kraju potrzebnem.

Jakaż na to rada, aby to nowe marnotrawstwo kleszcze swoj zabójcze zniszczyło?

Jedyna.... praca naukowa, czytanie rozważne i wcielanie się myślą i duszą, w myśl i ducha społecznego. Piszcie, ale się i uczcie; sami głosicie, że wiedza to siła, a tak się mało o nią staracie. Namawiacie do czytania rozważnego, a tak mało sami czytacie; skłaniacie do bogacenia się przez pracę umiejętną, a wybieracie najmniej popłatną i jeszcze dobrze niewyuczoną. Powiadacie, że robicie to z poświęcenia dla szerzenia światła w narodzie, ale cóż warte poświęcenie w jakim zawodzie do którego źle się jest usposobionym. Przysposóbcie się wprzód odpowiednio, a uwierzymy w głoszone przez was poświęcenie, choć go sami wyśmiewacie i nazywacie głupiem marzeniem.

Sprowadzamy wszystko z zagranicy, począwszy od sztyfta w bucie, aż do kapelusza, mamyż i potrzebę naszej duszy karmić jedynie wyrobami zagranicznej umyłowości. A przyjdzie do tego, jeżeli nie zastanowicie się nad uwagami wam przedstawionemi. Marnotrawstwem własnych zdolności gubicie i siebie i kraj cały wstrzymujecie w postępie, czyż się to godzi, czy tak być powinno?

Cóż robić, powiadacie, dla chleba człowiek wszystkiego chwytać się musi.

Tak, to prawda, ale nie literatury. Innych zajęć chlebodajnych pełno, wszędzie brakuje ludzi z głową, dla czegóż braku tego nie zapełniacie? Zdobądźcie tam stanowisko, gdy wam o chleb idzie, a potem myślcie o literaturze. Przy umiejętnem rozporządzeniu czasem, da się ona ze wszystkiem pogodzić, tak z handlem, przemysłem, jak rękodzielnictwem lub rolą. Którzy zaś utoną w wirze nowego zajęcia i piórem pogardzą, będzie-to znak jasny, że literackie pomysły były tylko zachciankami, chętkami, a temi się nie buduje. Przycichną i dobrze się stanie, talent zaś prawdziwy, prędzej, czy później wydobędzie się na wierzch, z tem większą mocą, im jest potężniejszy.

Za granicą mało jest piszących, coby od młodego już wieku zyskawszy patent uniwersytecki, zawód literacki obierało na stałe swoje zatrudnienie. Wstrzymuje ich od tego obawa, czy posiadają do tego stosowne uzdolnienie, które zwykle dopiero w pewnej dojrzałości staje się jawnem. Zostają więc czemś na świecie i później albo pracę obraną łączą z pracą literacką, albo też przy większym zasobie talentu zostają wyłącznie literatami.

U nas dzieje się przeciwnie, mnożą się też niby literaci, a właściwie nieszczęśliwe ofiary własnej nierozwagi. Wielu robi to z przekonania, że talent posiadają, że dosyć chcieć, przy jego choćby najsłab-

szym odbłysku, aby módz zostać literatem. Jak zaś o przysposobieniu do tego zawodu fałszywe mają pojęcie, dość przytoczyć odpowiedź jednej panienki ze zdolną bardzo główką, która na uwagę, że do pisania powieści jeszcze jest za młoda, aby te wiernie mogły obrazować życie ludzkie, odrzekła, że nie jest tak młodą, jak się zdaje, bo ma już lat..... *dziewiętnaście*.

Był-to może pierwszy wypadek, w którym panna gwałtem chciała być starszą, jak jest rzeczywiście. Za prawdę odpowiedzi, ręczymy, a tę która nam ją udzieliła, przepraszamy za zdradę poufnego zwierzenia. Można jednak z niej zrozumieć, jak żądza sławy literackiej młode nasze talenta okuwa w swoje pęta.

Są także, co w zawód literacki i wydawniczy rzucili się wprost ze spekulacyi. Zobaczywszy, że wydawnictwa niektórych bogacą, dalej więc do wydawnictw naturalnie niezręcznie obranych, bo do tego potrzeba oddzielnego talentu wcale nieliterackiego. Niepowodzenie przypisywali brakowi popularności dla swego imienia, że zaś takowe zdobywa się tylko wytrwałą pracą, z talentem połączoną, gdy praca zdawała się za ciężka, a talent na zawołanie nie przychodził, szamocząc się, gniewając na wszystko i wszystkich, że im tej popularności nie wyrabiają, w czem najwięcej, według ich przekonania była winna prasa peryodyczna i starzy literaci, rzucili się więc na jedną i na drugą w tej nadziei, że gdy ich sponiewierają, gdy zetrą na proch wszelkie zasługi, gdy z drobnostek ujemnych wybudują olbrzyma nicości, a stronę dodatnią albo pominą rozmyślnie, albo przedstawią karzełkiem ledwie zasługującym na uwgę, wówczas dla nich otworzy się arena zdobyczy, i to co tamci zbierali, im się dostanie. Zawiedli się, ale niewszyscy i od razu: jedni już upadli, drudzy upaść muszą, mimo chwilowego powodzenia, skutkiem przynęt bardzo zręcznych, jakie na łatwowiernych zarzucili.

Ale z niemi nie mamy obecnie nic do czynienia: są-to wrzody społeczne, które się tylko leczą cudzą pracą, pcsożyty umiejące głośno krzyczeć i ssać soki najżywotniejsze, a nie pracować pożytecznie. Na nich nie ma rady, tylko wzgarda publiczna, której prędzej czy później, doczekać się muszą.

Tu mieliśmy na myśli rzeczywiste młode talenta, tylko obłąkane, porwane wirem wyzyskiwaczy tak chętnie garnących do siebie wszystkich, co im rozgłos dać mogą. Czy talenta takie zmarnieją, czy nie, nic ich to nie obchodzi; w łapkę, którą zastawili chwytają każdą zwierzynę, co wpadnie zarówno motyla już rozwijającego swe skrzydła, jak i wykluwającego się dopiero z poczwarki. Uciekajcie zasadzek! Talenta to kwiat z pnia społecznego rozkwitający, gdy uwiędnie przed czasem drzewo cierpi i owocu nie przynosi.

Pielęgnujcie więc troskliwie te iskry Bożego daru, aby nie przygasły przedwczesnem wyczerpaniem: podsycajcie je nauką, a nowe marnotrawstwo, jakie wytknęliśmy, zginie bezpowrotnie, z waszem i wspólnem wszystkich dobrem. Y.

Odkochany Poeta.

My sobie już obcy o! moja kochanko,
Jam inszą ukochał istotę;
Ty byłaś i jesteś uroczą ziemianką,
Ja czuję nieziemską tęsknotę.

Myśl moja zaklęła uczucie na czyny,
I serce bez woli nie bije,
I w duszy obecny cel wyższy, jedyny,
Dla niego człek umrze i żyje.

My teraz dalecy na drogach żywota,
Choć obie cierniami usłane;
Choć wspólna za nami została Golgota,
Lecz dzisiaj jej widmo rozwiane.

Z uśmiechu litości i słowa pogardy
Artysta akordu nie stworzy,
A żywot zbyt miękki i doli los twardy,
To wyrok nie ludzki—a Boży.

Wśród liści różanych ty cierni nie widzisz,
Ja róży nie widzę wśród cierni,
Ty z czasem uczucia dawniejsze wyszydzisz,
Jak szydzą dziś z świętych niewierni.

Ty żyjesz krwi biegiem i myśli swawolą,
I skonasz z młodości skonaniem,
Ja żyję ranami, co w piersi mi bolą,
I wiecznem są życia zaraniem.

Z pamiątek i pracy, z przeszłości, z nadziei
Dziś mego wysnuta nić bytu,
Więc nie znam marnego uczucia kolei,
I ziemskiej miłości przesytu.

My sobie już obcy, urocza ziemianko,
Karlego uczucia podnieto,
Niech inni cię raczą balladą, sielanką,
Ja czynem być muszę poetą.

L....

ORZEŁ I GOŁĄBKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Panią Zeneidę Fleuriot.

DZIEŁO UWIEŃCZONE PRZEZ AKADEMIĘ FRANCUZKĄ

przekład **H. K.**

(Dalszy ciąg).

— Pójdę—odrzekł Henryk—i tam dopiero obaczę. W tej chwili Anna i Maja ukazały się we drzwiach i przywołały Henryka.

Henryk kilka kroków ku nim postąpił.

— Henryku kassa już otwarta, odezwała się Anna odpowiadając ukłonem na ukłon pana Drassart.

— Ty weź bilety, Anno.

— Jaka klassa dla Mai, Henryku?

— Ta co i dla nas, druga.

Anna odeszła.

— Siostra twoja jedzie do Paryża? — zapytał ze zdziwieniem pan Drassart.

— Jedziemy razem, nigdyśmy się nie rozłączali i teraz poświęcenie swoje posuwa aż do towarzyszenia mi do stolicy.

— Jakto? i zamieszkałaby z tobą?

— Zabieram z sobą całe moje gospodarstwo. Ale to mi przypomina, że mamy mnóstwo kufrów do oddania na pociąg i nie mogę tą pracą obciążać siostry. Więc pan daruje... Za chwilę wrócę.

— Czekać cię będę tutaj.

Henryk wszedł do pierwszej sali, a pan Drassart podszedł do powoziku, którego konie zawsze Noemi trzymała, a w którym pan Marcelli nie przestawał palić.

— Czy dotąd zachwycony jesteś twoją zdobyczą — zapytał ten ostatni, do brata się nachylając.

Coś jakby zmarszczka niezadowolenia zarysowała się na czole pana inspektora.

— Mniej—odpowiedział—wiele trzeba będzie przerabiać, więcej niżem się spodziewał. A jaki naiwny! Czy uwierzycie, że chce zamieszkać niedaleko Jardin des Plantes i że zabiera z sobą siostrę i jej służącą, tę pasterkę w stroju z opery komicznej, trzeba być w Bretanii, aby coś podobnego widzieć.

— O! Bretania, kraj samych ostryg!—zawołała Noemi aż na tarczę powozu zakładając rezolutnie nogę w męzki bucik obutą.

— Ale zawsze ci idzie o twego notaryusza? — ciągnął pan Marcelli.

— Nie inaczej! intelligencia, energia, prawość, to wszystko on posiada, a my korzystać z tego będziemy.

— Cóż uczynisz z jego prawości? zapytał cynicznie palący.

— A to mi pytanie! zawołała Noemi głośnym wybuchając śmiechem.

— Najprzód pewność dla nas, Marcelli — odpowiedział poważnie pan Eugeniusz—rachunki jego nie będą potrzebowały sprawdzenia. Później, mam nadzieję przyprowadzić go do rozumu. Czuję, że potrzeba będzie działać zwolna i bardzo ostróżnie, aby go nie odstraszyć, osłonić wszystko, dobrze osłonić, bo przez czas jakiś pozostanie przejęty jeszcze tem, cobym chętnie nazwał *bretonerią*. Lecz Paryż tę rdzę zetrze prędko. Trzeba tylko, abyśmy go mieli pod ręką i od razu w ogień rzucili. Jeżeli do trzech miesięcy siostra i służąca nie wyniosą się same, kombinacye moje upadają, to pewna. Liczę na ciebie Marcelli, że roznamiętnisz nieco tego Celta, nie brak mu już chęci wyniesienia się, namiętność do złota przyjdzie wkrótce, a za nią i wszystkie inne. Czy oszalał? chcąc brać za przewodników tych starych uczonych z Pouldu, dwóch mnichów w paltotach! ci Bretończycy są niepojęci!

— Niepojęci!—powtórzyła Noemi z bicza klaskając.

— A kończą na tem, że niewięcej są warci od innych—obojętnie dodał pan Marcelli.

— Często bywają i gorsi od innych, lecz jest w nich zawsze coś dziwnego, coś co zawadza. Najbardziej zepsuty ma jeszcze swoje dobre chwile, pragnienia odzyskania upadającej uczciwości, przejściową szczerość, manie rehabilitacyi, pokuty i poprawy... Nigdy nie jestem ich pewien właśnie z powodu tych resztek sumienia, które nie wiem z kąd się biorą.

— Z zasad religijnych, któremi ich napawają i ogłupiają od dziecka—odpowiedział pan Marcelli lekko strzepując popiół ze swego cygara.

— Zapewne. Zresztą w początkach ma to i swoją dobrą stronę, dopóki przez to bieg interesów nie jest naruszony. Ale otóż i mój król Artur, bądźmy więc poważni....

Rzeczywiście Henryk się zbliżał. Skłonił się pannie Noemi, uścisnął rękę pana Marcellego a zbliżywszy się do swego przyszłego zwierzchnika, uważnie słuchał jego ostatnich instrukcyj.

Przez ten czas panna Katarzyna, Marya-Ludwika i Anna siedziały spokojne i milczące w swym kącie. Panna Katarzyna lodowate swe spojrzenie zatrzymywała na każdym z przechodzących, Marya-Ludwika bezbarwne swe oczy z miejsca na miejsce bezmyślnie przenosiła; Anna zaś spoglądała w niebo z przejmującym wyrazem boleści, boleści rozstania się z ciotkami i krajem.

Wtem głośno wymówione jej imię wyrwało ją z zadumania.

Franseza de Keruarn stała przed nią, ze szpicrutą w ręku, widocznie mocno wzruszona, to bladła to rumieniła się na przemian.

— Anno, powtórzyła skłaniając z uszanowaniem głowę przed panną Katarzyną, chodźno na chwilę.

Anna wstała; Franseza wzięła ją pod rękę i poprowadziła ku drzwiom wchodowym.

— Czy to być może? jedziesz na mieszkanie do Paryża? zapytała ze wzruszeniem.

— Tak Fransezo, będę mieszkała w Paryżu.

— Z Henrykiem?

— Henryk i Franseza często się z sobą w dziecińskie spotykali i w słodkiej poufałości mało miasteczkowej nie raz po imieniu mówili do siebie.

— Z Henrykiem.

Wzruszenie Fransezy coraz się więcej uwydatniało. Jej piękne brwi ściągnęły się, wyraz smutku oblekł jej twarzyczkę, cała postać zdawała się być przygnębioną.

— Ojciec o wszystkiem wczoraj dopiero mi powiedział —cichutko wyszeptała. Twój brat Anno zraził się zbyt prędko.

— Czy źle uczynił, Fransezo?

Na wyrazistej twarzy Fransezy ukazał się odblysk bolesnego cierpienia.

— Serce mówi że tak, wyjąknęła, rozsądek mówi że nie. Mój drogi ojciec, co do mnie, jedno ma tylko marzenie, aby za zięcia mieć wojskowego, i w tem tylko względem mnie jest uparty. Nie mogę walczyć przeciw ojcu, nie mogę martwić mego dobrego ojca.

— Niestety! — Anna odpowiedziała z uczuciem — zawszem myślała, że Henryk za wysoko sięga i podejmuje walkę z niepodobieństwem.

Fransezą schyliła głowę.

— I ja też nie byłam od niego rozsądniejszą i od kiedy wiem wszystko, o! bardzo, bardzo cierpię!

— Biedna Sezo!—odrzekła Anna z uczuciem kładąc obie ręce na ramionach młodej dziewczyny, — wielki był czas raz już to skończyć.

— Zapewne,... masz słuszność,... a nawet to już za późno — westchnęła Fransezą rzucając się w jej ramiona.

— Czy twój ojciec nie dałby się ubłagać?

— Powiedział mi stanowczo, że to niemożebne.

— Tak! to niemożebne! Anna powtórzyła z westchnieniem.

— Fransezą się wyprostowała.

— Nie!—zawołała z zapałem—nie w tem znaczeniu przynajmniej jak ty to rozumiesz, dla mnie niepodobnem tylko będzie zmartwić mego ojca, przeciwić się, buntować, przeciw jego woli.

— O tak! Fransezo, żadnego buntu! Henryk się poddał, poddajmy się i my z pokorą! Bądź zdrowa, bądź zdrowa moja dzoga Sezo!

— Bądź zdrowa Anno! żałuj mnie, módl się za mnie. Nie wiem, czy mówić będą jeszcze. „Szczęśliwa jak dziedziczka Koat-an-Abat,“ lecz to już prawdą nie będzie!

Uściskała Annę i znikła w salonie pierwszej klassy w chwili, gdy Henryk wchodził do ogólnej sali.

Ruch wyjazdu trwał ciągle i podróżni cisnęli się do szklannych drzwi na roscież otwartych. Henryk i Anna trzymając w ręku niewielkie pakunki, ucałowali obie stare panny, które z siedzenia się podniosły. Twarz panny Katarzyny oblekła się wyrazem smutnym i uroczystym, a Maryi-Ludwiki nagle wyraziła prawdziwą rozpacz. Postanowienia powzięte, czynione przygotowania, ruch i zajęcie od samego rana, rozbudziły w jej bezbarwnym umyśle jakieś niepewne pojęcia o rozstaniu, lecz gdy to rozstanie się zbliżyło, gdy je przed sobą ujrzała, serce jej wezbrało i pękło, a rzucając rozpaczliwy wzrok na tę dymiącą lokomotywę która miała unieść jej dwie najukochańsze istoty, łzami się zalała.

— Jedźcie już dzieci, jedźcie, bez tych oznak słabości— wyrzekła panna Katarzyna głosem pewnym; Maryo-Ludwiko podaj mi rękę.

Słowa te wczas wyrzeczone zostały. Marya-Ludwika wstrząsła się na dzwięk głosu, który był dla niej wyrocznią, zbliżyła się machinalnie do siostry, podała jej rękę i obie wyszły z sali podczas, gdy Henryk, Anna i Maja innemi drzwiami wychodzili. W dziedzińcu, przerażenie znowu się odmalowało na bezbarwnej twarzy Maryi-Ludwiki i gwałtownym ruchem zwróciło się do banhofu.

— Zatrzymajmy ich!—jęknęła z boleścią— już ich nie ujrzymy więcej!

Panna Katarzyna silnie swą rękę oparła na ramieniu siostry, jakby ją chciała w biegu powstrzymać.

— Zobaczymy ich—powiedziała—wiem że powrócą. Maryo-Ludwiko, nie czuję się pewną na nogach gdy się tak kręcisz, dodała nakazująco. Wszak zostałaś teraz jedyną podporą moją!

To słowo tak dziwne w ustach tej energicznej ośmdziesięcioletniej staruszki, podziałało jakby czarodziejska różczka na serce pełne poświęcenia Maryi-Ludwiki, która się natychmiast uspokoiła. Obtarła oczy łez pełne i jako wierny przewodnik postępowała zwolna ku miastu, podtrzymując kroki siostry w zastępstwie czerwonego parasola, który tym razem spoczywał zawieszony na ręku panny Katarzyny.

Podczas gdy to zmartwione gronko wracało do Quimperlé, inne grono znacznie liczniejsze a bardzo różnemi wrażeniami przejęte, do Koat-an-Abat wracało. Z jedenastu jeden tylko pozostał: podporucznik Edmund, który był ciągłym gościem pana de Keruarn, nim na wyższe stanowisko postąpi, jak utrzymywali mieszkańcy miasteczka. W tej chwili jechał on stępo przy Fransezie ust nie otwierającej, gdy ta nagle wstrzymała konia swego i cicho z ojcem rozmawiać poczęła. Pan de Keruarn zatrzymał powóz w którym jechała matka Edmunda.

— Kuzynko, powiedział, Fransezą musi być koniecznie w Quimperlé, bądź więc tak dobrą powróć z Edmundem do Koat-an-Abat, anie długo na nas czekać będziecie.

Uśmiech przyzwolenia był odpowiedzią pani de Kerbar, a ojciec z córką zawrócili swe konie i wkrótce z oczu im zniknęli.

— Mamo, ja pojadę za niemi—zawołał Edmund z uniesieniem i głowę konia wsadzając prawie do powozu—Fransezą zabroniła mi wprawdzie, lecz mimo tego pojadę.

— Więc znowu się gniewacie?—zapytała spokojnie pani de Kerbar.

— Fransezą jest czasem nieznośna. Gdyśmy opuszczali banhof, powiedziałem jej tylko śmiejąc się: „A cóż kuzynko, Child-Harold odjechał?“ Od tej pory gniewa się na mnie.

— Kogo nazywasz Child-Haroldem?

— Ależ tego Darganec! tego notaryusza! którego siostrę tak śmiesznie Fransezą przed chwilą opłakiwała.

— Ten młody człowiek, który z nią tańczył wczasie jarmarku na ptaki?

— Ten sam.

— Zdawało mi się, że mają odbyć krótką tylko przejażdżkę do Paryża?

— Nie, ma tam zamieszkać wraz z siostrą.

— Ach!—zawołała pani de Kerbar z widoczną radością.—Cóż to Edmundzie —żywo dodała widząc że syn konia zawraca—gdzież jedziesz?

— Do Quimperlé. Jeżeli się to nie podoba Fransezie, mniejsza z tem. Nie staje mi już cierpliwości! Daremnie mama mi mówi i wuj dowodzi, czuję że niczem więcej dla niej nie będę jak krewnym, chcę raz już skończyć.

— I to w chwili, gdy zbliżasz się już do celu!—zimno odrzekła pani de Kerbar.—Edmundzie, czy słuchasz mnie?

I matka pochyliła się ku synowi jak gdyby chciała cicho z nim pomówić.

— Słucham—odpowiedział tenże z siodła ku matce podobnież się nachylając.

— Ostateczny wybór ojca padł na ciebie, Fransezą dość ci jest przychylną, wiem o tem. Wyjedziemy pojutrze, wracamy za tydzień, a za miesiąc oświadczymy się o rękę panny. Zapewniam cię, że zostaniesz przyjęty, jeżeli usłuchasz rady twojej matki.

— Radź mamo, radź—odrzekł młody człowiek.

— Zacznij od uszanowania jej smutku z powodu wyjazdu przyjaciółki, ona cierpi, a ty się śmiejesz nie tak się postępuje z kobietą taką, jak Fransezą. Czy mnie zrozumiałeś?

— Jak najdokładniej. Rzeczywiście byłem brutalem, gburem! muszę ją przeprosić, lecę do niej!

— Nie, wracaj ze mną, lecz bądź jej uległy i szanuj przez te dwa dni jej żal, który zdaje się być bardzo żywy i bardzo szczery.

— Tak też i uczynię, czuję że postąpiłem głupio!

Po tych wyrazach, Edmund zaciął konia i dał stangretowi rozkaz jechania. Pani de Kerbar usunęła się na poduszki powozu, który z miejsca ruszył.

— Wszystkiego się doczeka, kto czekać umie, powiedziała do siebie mama pragnąca dobrze syna ożenić.

X.

W OTCHŁANI

Nie są to już owe drżące topole przeglądające się w przezrzystych, pięknych wodach Izoli, na które teraz spogląda Anna swym wzrokiem nieświadomym a tak zarazem głębokim: na ich miejscu wznosi się przed jej oczyma cały szereg pałaców, po nad któremi z prawej strony i na drugim planie, górują szerokie pozłacane skrzydła allegorycznych posągów gmachu nowej Opery.

Henryk poszedł za radą pana Eugeniusza Drassart i choć wprawdzie ze znacznem poświęceniem pieniężnem, zamieszkał wraz z Anną w jednej z najpiękniejszych części miasta, na bulwarze des Italiens.

Niejeden z ciekawych sąsiadów musiał już nieraz być zdziwiony widokiem w niektórych godzinach, téj młodéj a tak poważnej kobiety ukazującéj się w rzeźbionych ramach okna między temi dwoma pysznemi kariatydami balkonu, tak obojętnej na swą piękność, jak gdyby nie wiedziała zgoła, i na tych co ją podziwiali ócz swych nie podnoszącej nawet.

Sąsiedzi widocznie nie istnieją dla Anny, a prawdę powiedziawszy nic w Paryżu dla niej nie istnieje oprócz jednego tylko Henryka. W tém elegancko umeblowaném mieszkaniu Anna wygląda jak leśna ptaszyna w złoconéj klatce, w której tęskno jéj i smutno. Od swego przyjazdu do stolicy, odbyła pielgrzymkę do Notre Dame des Victoires, podziwiała Kaplicę Najświętszéj Panny, z lekka obejrzała główniejsze budynki, zamieniła parę wizyt z paniam Drassart i ze swemi wujami Bihamic: lecz jedno ją tylko zajmuje: stworzyć wśród tego paryzkiego wulkanu miękkie i wygodne dawniejsze gniazdko, zachować w tém dziwném, obcém otoczeniu, drogie dawne zwyczaje które tworzą jakby magnetyczny łańcuch wiążący nas do domowego ogniska, zamknąć w niém Henryka, w niém go zatrzymać. Za pomocą tysiącznych dowcipnych pomysłów udało jéj się stworzyć wśród paryzkiego bulwaru wnętrze bretońskiego domku i Henryk prowadzi w niém spokojne, dawniejsze swe życie. Przyznał się Mai, że napróżno szuka jéj zdrowéj i smacznéj kuchni w sławnych restauracyach, do których go ciągną panowie Drassart w dniach wielkich interesów, a Annie się przyznaje, że po całodziennych rachunkach szczęśliwym się czuje gdy może czytać przy jéj boku. Lecz są dnie, w których prąd ruchu paryzkiego unosi Henryka mimo jego woli, dnie w których gorączkowe zajęcia coraz go więcéj od siostry odrywają.

W téj właśnie chwili Anna oczekuje Henryka. Na stole przygotowane są dwa nakrycia a Maja zarumieniona z pośpiechu ciągle się zwija po téj mikroskopijnéj jadalni i takiejże kuchence, w któréj bez wiedzy Anny, tyle się wypłakała w pierwszych dniach ich zamieszkania w Paryżu.

Biedna Maja. W tym rodzaju więzienia w którym zdaje się że i powietrze jest wymierzone, przed tym eleganckim ekonomicznym piecykiem mającym także swoje złocenia, w nieunikniony stosunkach z odźwierną postawy okazałéj i pogardliwie na skromną wieśniaczkę spoglądającéj, nie tylko żałuje ona i tęskni za ulicą Zamkową, za wielkim piecem panny Katarzyny, lecz nawet za nędznym kominem wiej-

skiéj rodzicielskiéj chatki. Wierzajcie mi czytelnicy mili, Maja oddałaby całe mieszkanie, dom, balkony, kariatydy, w zamian za najmniejszą lepiankę w Pont-Aven, gdyby Anna, jéj ukochana pani, nie była przed jéj oczyma w każdéj dnia godzinie, Maja wzięłaby swoje zawiniątko pod pachę i poszłaby szukać w tym wielkim mieście drogi żelaznéj, któraby ją do domu odwiozła, zdala od ekonomicznego piecyka, balkonów, kariatyd i dumnej pani odźwiernéj.

— Pan Henryk zawsze się teraz spóźnia—odezwała się nareszcie Maja wchodząc znowu do jadalnéj sali — z temi paryżanami traci wszystkie swoje dobre przyzwyczajenia.

— Między innemi punktualność — odrzekła Anna smutnie się uśmiechając—masz słuszność Majo, lecz interesa w Paryżu są inne niż w Quimperlé.

— Interesa, i wszystko zupełnie inne a nic warte! — zawyrokowała Maja z pogardliwym uśmiechem myśląc o ekonomicznym piecyku, przedmiocie jéj skrytéj nienawiści.

Anna wyszła na balkon, aby przejrzeć bulwary i odważyła się wychylić swą ładną główkę aż po wygięte ramię kariatydy z prawéj strony balkonu umieszczonéj.

— Ostrożnie!—zawołała Maja chwytając ją za brzeg sukni — nie uderz się pani o łokieć téj brzydkiéj kobiety. Na tym balkonie można dostać zawrotu głowy!

Anna nie zważając na te przestrogi, jeszcze się bardziéj wychyliła, aż spostrzegła Henryka na rogu ulicy Louis-le-Grand.

— Idzie już!—zawołała z radością.—Możesz podawać Majo.

— Tém lepiéj — powiedziała Maja — bo nie mogę być spokojną póki mój rosół stoi na téj złoconéj maszynie, która nas wszystkich zabija nieznośnym swądem jak tylko kropla wody na nią upadnie.

Tak krytykując swój piecyk Maja wróciła do kuchni i po chwili gotowe śniadanie czekało już na Henryka.

Henryk powierzchownie się zmienił bardzo, i w tym gentelmanie ubranym według ostatniéj mody i z taką swobodą noszącym te eleganckie suknie, trudno byłoby poznać notaryusza z Qnimperlé dość zwykle w swym stroju zaniedbanego.

Twarz młodego człowieka nie zmieniła wszakże ogólnego wyrazu, nic nie zaciemnia jego jasnego spojrzenia i tajemna jakaś melancholia zawsze widzieć się w niém daje, lecz pod tą obojętną na pozor maską twarzy badawcze oko odkryje jednakże duszę wzburzoną, skołataną, w niezgodzie z sobą będącą, istotę niespokojną, zdziwioną, namiętną która nie wie, gdzie ma rzucić kotwicę i do jakiego portu zaprowadzić łódkę, któréj ster w ręku swym trzyma.

Z roztaugnieniem uśmiechnął się do Anny i zaraz zasiadł do stołu.

— Widzę, że się bardzo spieszysz—odezwała się Anna półmisek mu przysuwanjąc.

— Bardzo nawet. Interesa w Paryżu to jak koło młyńskie, rodzaj piekielnego które nigdy nie przestaje się kręcić. *(d. c. n.)*

KORESPONDENCYA Z LONDYNU.

z Lipca.

(Dokończenie).

Dalej lord Colderigde ubolewał: że ponieważ redakcye pism periodycznych i przeglądów, lepiéj daleko wynagradzają piszących niż najpierwsi nawet księgarze, zatem autorowie wolą pisać pojedyncze artykuły, niźli całe tomy, z wielką szkodą dla piśmiennictwa. Nadto, mówił, liczba piszących tak się ciągle zwiększa, iż nie wszyscy mogą znaleźć zajęcie, i z tego tytułu „Royal Litterary Fund“ potrzebowałaby, aby liczba członków, zapisów i składek znacznie się zwiększyła, chcąc aby mogła zapobiedz temu, żeby żaden autor, poeta czy prozaik, nie był zmuszony kończyć w szpitalu.

Czytając sprawozdanie z rocznego meeting'u Stowarzyszenia biblijnego i Stowarzyszenia do wydawnictwa małych broszurek religijnych (Tracts Society), pomyślałem sobie, że podobno lepiej wychodzą autorowie zapisujący się do tych stowarzyszeń, niż do bractwa artystów i pisarzy. W roku 1873 Stowarzyszenie biblijne dostało z podpisów i składek summę wynoszącą 220,766 funt: szter: a Stowaryszenie wydawnictwa summę 137,705 f: szt. Obiedwie te summy zostały wydane na „Biblie“ i „Tracts“ i rozesłane na cztery strony świata. Czyżby jedynym tego rezultatem było ochrzczenie 1800 Chińczyków, z których nawrócenia chełpią się Stowarzyszenia? Jasna rzecz, iż gdyby autorowie zamiast poematów, romansów i powieści układali tracts'y większe daleko ciągnęliby z tego zyski.

Nareszcie i protestanci zaczynają uznawać, iż Kościół katolicki miał słuszność zakazując młodzieży obojej płci, i w ogóle kobietom, czytania Starego Testamentu. Na czele *Przeglądu Edymburgskiego* za kwiecień r. b. czytamy dwie stronnice prospektu księgarza Longman, ogłaszającego wydanie „Biblii dla młodzieży“ ułożonej przez wielebnego W. Rogers, prebendysty od S. Pawła, jednego z kapelanów królowej. Oznajmiwszy z góry, że Biblia jest księgą niezbędną do wychowania narodowego, dodaje, iż są w niej ustępy tak redagowane, iż nie należy dozwalać ich czytać młodzieży, że jest-to oniemal „obrazą wstydu publicznego“ i dla tego wydawca uprosił szanownego kapelana królowej o „oczyszczenie“ Starego Testamentu z rażących wyrażeń i ustępów.

Ciekawa rzecz, czy i kapelan królowéj będzie oskarżony jako „katolik papista“ i czy przejrzana przez niego Biblia zostanie zamieszczona na indeksie przez synod biskupów, odbywany pod przewodnictwem arcybiskupa Kanterberyjskiego?

Prałaci Izby lordów przedstawiali już w parlamencie, że katolicyzm tak wielkie w Anglii czyni postępy, iż grozi zagubą anglikanizmowi, a archi-dyakon Phillpotts wyliczał, jak wielka liczba lordów i panów w statnich kilku latach przeszła na religię katolicką. Domagali się od parlamentu władzy wykorzeniania wszelkich „innowacyi,“ które wielka liczba pastorów ritualistów zaprowadza w parafiach anglikańskich. Słowem na polu religijnem panuje tu ciągłe rozdwojenie i coraz nowe wywiązują się rozterki.

Dzienniki przedwcześnie rozgłosiły przyłączenie królestwa Fii do Wielkiej brytanji. Propozycya króla Kakobu bardzo zimno została przyjęta, widział się więc zmuszonym przynajmniej czasowo zatrzymać tron i koronę, z wielkiem niezadowolnieniem swoich wierzycieli, łudzących się już nadzieją, że królowa angielska popłaci ich należności. Co teraz pocznie biedny król Kakobo? czy ogłosi bankructwo lub zwróci się do Stanów Zjednoczonych? Czy prezydent Grant zechce indossować jego weksle? To pewna, że Anglia nie ma ochoty mieszać się w tę sprawę.

Przejdźmy teraz do teatru, czyli raczej do trzech najnowszych sztuk dramatycznych, które teatra londyńskie bardzo pragnęły przedstawić, ale autor, p. Ross Neil, nie chciał zezwolić, na to chcąc pierwej poddać utwory swoje pod sąd krytyki literackiej, i dla tego wydał je wszystkie w jednym tomie.

Pierwsza, pod tytułem *Cyd* jest osnuta na tejże tradycyi hiszpańskiej, co i tragedja Corneille'a, tylko z rozmaitemi odmianami.

Ojciec Hymeny i ojciec Rodryga współubiegają się o godność nauczyciela infanta, i tak jak w tragedyi hiszpańskiej Rodryg zabija w pojedynku ojca Hymeny, która, poświęcając miłość obowiązkowi pomszczenia śmierci ojca, domaga się i uzyskuje rozkaz skazujący Rodryga na wygnanie. Hymena jest przekonana, że przestała kochać zabójcę ojca, i dopiero dowiadując się, że Rodryg został zabity przez przewrotnego rywala, przekonywa się, że miłość jej żyje w całej pełni. Ukazujący się niespodzianie Rodryg słyszy to wyznanie, którego już Hymena cofnąć nie może. Hymena przebacza i autor daje się domyślać, że kochankowie pobiorą się kiedyś.

P. Ross Neil chciał „poprawić“ nieprawdopodobieństwa *Cyda Kornela*, nie mogąc dopuścić, aby przez posłuszeństwo dla praw jedności czasu i miejsca, dość było dwudziestu-czterech godzin na poróżnienie się obu ojców, na pojedynek między hrabią i Rodrygiem, zwycięztwo nad Maurami i zaręczyny dwojga kochanków, poróżnionych rano, pojednanych wieczorem.

Druga sztuka p. Ross Neil, nosi tytuł *Król i Anioł*. Jest-to przeniesienie na scenę legendy opiewającej, że król sycylijski Robert, który stał się bezbożnym despotą, powracając raz z polowania, zasnął słuchając napomnień hrabiego Raymonda, wiernego swego doradcy. Gdy się nareszcie obudził, postrzegł z niemałem zdziwieniem, iż się przemienił w obdartego prostaka. To Anioł-Stróż jego dokonał tej przemiany, chcąc się podstawić w jego miejsce i naprawić złe czyny, jakich się dopuścił w ciągu panowania. Daremnie Robert krzyczy i domaga się praw swoich, aż nareszcie wzięty za wariata zostaje zamknięty w więzieniu, gdzie spotyka się z pewnym biedakiem którego dawniej sam kazał uwięzić za to, że poważył się powstawać przeciw jego tyranii i okrucieństwom. Ten więzień zawiadamia go, jak bardzo jest znienawidzony od wszystkich w ogóle poddanych, dodając zarazem, iż zawiązał się spisek doskonale uorganizowany, do którego i on także należy. Spisek ten ma wybuchnąć niebawem. Robert przyświadcza towarzyszowi więzienia i sam go namawia, aby zasztyletował tyrana;—ale anioł-król nie dopuszcza wybuchu spisku, rozbrajając spiskowych swoją dobrocią i łaskawością. Zewsząd rozlegają się okrzyki: Niech żyje król Robert!!! poddani teraz go ubóstwiają, a nie dość na tem, księżniczka Bianka, która dotąd z pogardą odtrącała jego miłość, teraz oceniając przymioty, oddaje mu serce i rękę... Rzecz prosta, iż Robert pojmuje teraz, iż lepiej być dobrym i kochanym monarchą, niż znienawidzonym tyranem, i gdy po nowem przeobrażeniu wraca na tron, króluje jak anioł. W tej sztuce występuje trefniś dworski, skreślony wzorem Schakesper'a.

Trzecia sztuka p. Ross Neil, „*Jednodniowy książe*“ przypomina zarazem prolog *Poskromionej złośnicy* i *Rabagas'a* p. Sardou. Oto jej treść, zaczerpnięta z tradycyi belgijskiej.

Filip dobry, książe Burgundyi, rozkazał przenieść do swego pałacu krawca Piotra Schenk, który upił się na śmierć podczas jakiejś hulatyki, w ciągu której głośno podżegał do spisku przeciw księciu. Jak Rabagas tak i on prędko oswaja się z władzą, zostaje zwolennikiem despotyzmu, otacza się zausznikami, nakłada wielkie podatki, i t. p. Po tych dwudziestu-czterech godzinach panowania, z kolei odsiaduje w więzieniu także tylko dwadzieścia-cztery godzin, gdyż dobry książe Filip przebacza krawcowi, który spokojnie wraca do warsztatu.

Jest to komedja bardzo wesoła, pełna werwy i humoru i stanowi *pendant* do *Króla* i *Anioła*.

Autor już kilka lat temu napisał tragedyę *Joanna Grey*, o której krytyka bardzo przychylnie się wyraziła. Wszystkie trzy powyższe sztuki podobały się powszechnie, i niezawodnie wielkie mieć będą powodzenie na scenie.

Jakkolwiek romanse historyczne wyszły niby z mody, pojawiają się jednak od czasu do czasu, a obecnie

najnowszy, p. n. *Iwan Birou czyli dwór rossyjski w środku ostatniego wieku* w przeciągu paru tygodni rozszedł się aż w trzech wydaniach. Nie ulega wątpliwości, że do takiego powodzenia przyczyniło się wielce małżeństwo księcia Edymburgskiego. Autor, sir Artur Helps, jest bardzo dobrze widziany u dworu, i zapewniają, że księżna Edymburgska przyjęła nader uprzejmie dedykacyą tej powieści, zarazem romantycznej i historycznej.

Księżna Galiczyn przetłómaczyła na język angielski romans hr: Tołstoj, *Książe Srebrny*. P. Naake wydał zbiór legend i klechd słowiańskich, a pani Mijatowitz zbiór legend Serbii, z przedmową pana Denton.

Anglia, co mówię, świat cały, stracił ostatniego może astrologa, w osobie sir James Morrison, kapitana okrętu. Ileż-to razy i ja i inni korrespondenci wyrażaliśmy się z wielkiem lekceważeniem o Zadkiel Taosze i jego kalendarzu, którego przecież rozchodziło się corocznie do 200,000 egzemplarzy. Nie wiedziałem że Zadkiel Taosze był tylko pseudonimem szanownego kapitana, który rzeczywiście był uczonym matematykiem i astronomem. Wydawał swój kalendarz, bo mu co rok znaczny przynosił dochód, gdy tymczasem uczone jego prace zaledwie pokrywały koszta wydawnictwa, z wyjątkiem jednego dziełka p. t. *Astronomia w łupince od orzecha*, które rozeszło się w kilku wydaniach. Powiadają, że jak Mahomet uwierzył w końcu w swój Alkoran i swoje posłannictwo, tak kapitan Morisson uwierzył w swój kalendarz, gdy przypadkiem kilka jego proroctw ziściło się co do joty. Raz admirał Betcher nazwał go „szalbierzem“ kapitan wytoczył mu proces i wygrał sprawę.

„Board of trade“ wydaje rok rocznie sprawozdanie o rozbiciach, starciach i uszkodzeniach okrętów i statków, wydarzających się w ciągu roku na bregach angielskich. Obecnie wydany tom, podaje liczbę nieszczęśliwych wypadków, jakie wydarzyły się w r. 1871 na wodach angielskich i sąsiednich morzach, na 1,573. Cyfra ta przewyższa o 73 wypadki liczbę podaną w r. 1870, a niższą jest przecięciowo o 230 odnośnie do lat poprzednich, począwszy od 1864 r.

W ogólnej liczbie nieszczęśliwych wypadków, zaledwie jednej dwunastej towarzyszy zguba ludzi; tak szczęśliwy rezultat zawdzięcza się doskonale obmyślonym środkom i przyrządom do ratowania. Dowodem skuteczności tych środków ratowania, że od roku 1855 do 1871, 6838 osób zostało uratowanych przez „life boats“ (statki do ratunku) a 5686 przez puzderka fumigacyjne do ratowania utonionych i zaduszonych i inne używane w tym celu środki. Ogólna liczba wyratowanych w tym przeciągu czasu jest 64,086 osób, przeciw 12,876 zatonionych.

Już w końcu roku 1871 zajdowało się na wybrzeżach angielskich 281 składów najrozmaitszych przyrządów do ratowania i 261 statków ratunkowych, z których 230 należało do „Royal national Life Boat institution.“

Wysokość summ wydanych od roku 1855 przez „Board of trade“ na wszelkiego rodzaju przyrządy ratunkowe, wynosi 134,000 funtów szter: w co nie wchodzą wcale summy wydane przez marynarkę kupiecką.

Wogóle Anglicy są bardzo zamiłowani w statystyce. Wprawdzie nie poprzestają na samych cyfrach, zaledwie tylko specialistów zająć mogących, statystycy angielscy obok daru gruppowania liczb posiadają talent malowniczego przedstawienia, i tym sposobem zgodnie z zasadą Horacego, umieją łączyć przyjemność z pożytkiem. Oto krótki wyjątek z naukowego pisma londyńskiego.

Dowiadujemy się z niego, że od zachodu na wschód, Londyn ma 25 kilometrów długości, szerokości 12 do 13, a powierzchni 34,000 hektarów. Jest to sześć do siedmiu razy powierzchnia Paryża, licząc do fortyfikacyj. Ludność Londynu wynosi 4,025,000 mieszkańców, zamieszkujących 23,000 ulic, które, gdyby je wyciągnąć jedna za drugą, wyniosłyby taką odległość jak z Londynu do Pointe-de-Galles, na wyspie Ceylan.

Gazu potrzebuje Londyn rocznie 10,400 milionów stóp sześćciennych angielskich; gaz ten wydobywa się z 490,000 rurek, wypalających 15 milionów stóp kubicznych na dwadzieścia cztery godzin.

Kościołów i domów modlitwy jest w Londynie 1000. Szynków piwnych i gorzałczanych 4500. Śmierci gwałtownych przypada rocznie 2608. Nie podano tylko liczby doktorów mających czujność nad zdrowiem 4,025,000 mieszkańców.

T. E.

KORRESPONDENCYA ZE LWOWA.

Lwów, *1 Sierpnia 1874 r.*

Jeden z lwowskich literatów zrobił to zarówno dowcipne jak i trafne spostrzeżenie, że sami Lwowianie są największymi nieprzyjaciołmi Lwowa, a Galicyanie wrogami Galicyi. W swoich własnych organach Lwów niemal codziennie znosić musi złośliwe przycinki i szydercze uwagi, a w zamiejscowych dziennikach tutejsi korrespondenci najskwapliwiej wyzyskują każdą sposobność do wyśmiania albo skarcenia galicyjskiej stolicy. W naszym świecie dziennikarskim zapanował formalny nałóg do jaskrawego uwydatniania wszelkich ujemnych stron kraju i wszelkich błędów, które w oczach trochę pobłażliwego sędziego maleją do rozmiarów powszedniego grzechu. Dziennikarz, któryby łagodnie, choć bez protekcyjnego uprzedzenia, badał i oceniał stosunki krajowe, jest we Lwowie białym krukiem, z którym dopiero w Krakowie możnaby się spotkać. Tam już wieje wiatr odmienny, ale granica umiarkowania nie jest zbyt ściśle przestrzeganą. Krakowski dziennik potrafi ocenić sprawiedliwiej sprawy własnego kraju, ale wpada w uprzedzenia partykularne. Jeżeli wypadek jaki, który wydarzył się na bruku lwowskim albo w wschodniej części kraju, zjedna sobie powszechną wzmiankę, to można być pewnym, że taki sam wypadek w murach Krakowa albo w zachodnich powiatach dokonany, wywołała o całą skalę wyższe uznanie i przejmie zachwytem krakowskiego dziennikarza. Gdyby nam kazano wybierać pomiędzy obiema taktykami dziennikarskiemi, przechylilibyśmy się bez wahania na stronę krakowskiej, bo jest ona mniej szkodliwą. Przesadna pochwała obudza nieuzasadnioną dumę, ale duma taka jest nierównie mniej szkodliwą niż zniechęcenie i zwątpienie w własną wartość, co jest zawsze skutkiem niesprawiedliwego pessymizmu w krytyce spraw publicznych.

Oceniając zdaleka stosunki galicyjskie, każdy mniema oczywiście, że kraj nasz jest Chinami europejskiemi, a społeczeństwo jego zbiorowiskiem nicponiów i leniwców. Jeżeli potem kto z podobnemi uprzedzeniami koniecznością zmuszony zawita do nas i zbliżka przypatrzy się stanowi ozeczy, doznaje zaraz miłego rozczarowania. Tak bowiem źle nie jest, jak pozedstawiają lwowscy dziennikarze i korespondenci, a jeżeli Galicya jeszcze pod niejednym względem nie może z wami iść w zawody, to przynajmniej stara się usilnie, ażeby jak najprędzej powetować straty poniesione w skutek długiego szeregu najrozmaitszych klęsk i trudności z dawniejszej epoki. Uwaga ta znajduje najlepszą illustracyą w naszych stosunkach szkolnych. Były one do niedawna istotnie opłakane, są jeszcze dzisiaj z wielu powodów niezadowalające, ale nad ich poprawą i to radykalną poprawą pracuje kraj od kilku lat gorliwie i nie bez skutków bardzo pocieszających. Liczba szkół początkowych do niedawna tak skromna w porównaniu z wielkim obszarem kraju i jego ludnością, wyrasta ustawicznie, dzięki obudzonej gorliwości gmin, obywatelstwa i osób prywatnych. Gdyby kto zajął się starannem zestawieniem dat statystycznych w tym kierunku, pokazałoby się, że postęp jest piękny i że kiedyś późniejsze pokolenia nazwą obecną chwilę porą przebudzenia i zwrotu ku rozumnie wytkniętym celom. Obok szkół początkowych powstała w ostatnich latach znaczna ilość niższych zakładów naukowych innego rodzaju, który dotąd znany nam był chyba tylko z praktyczności dowiedzionej w innych krajach. Dziś mamy już wcale pokaźną liczbę szkół wydziałowych i seminaryów nauczycielskich. Te ostatnie zakłady rokują piękne powodzenie rozwojowi naszych stosunków szkolnych. Sposobią one bowiem kandydatów do stanu nauczycielskiego w sposób odpowiadający dzisiejszym wymaganiom. Dotąd nasi nauczyciele szkół początkowych nie posiadali warunków do tego zawodu. Byli-to zazwyczaj ludzie z nizkiem wykształceniem, których tylko los samoistny popchnął do zawodu tak mało popłacającego. Odkąd płace nauczycieli zostały zmienione w sposób zgodniejszy z dzisiejszemi stosunkami, słusznie wymagać można od nich większego uzdolnienia i ukończenia szkoły fachowej. Więcej niż to materyalne polepszenie losu przysporzy zawodowi nauczycielskiemu zdolnych kandydatów moralne podniesienie zawodu. Dziś nauczyciel przestał być istotą upośledzoną w całem słowa tego znaczeniu i raczej o przesadę niż o lekkomyślność posądziéby nas można dzisiaj przy ocenieniu jego powołania i zadania. Co najwięcej dodaje otuchy i zachęty naszym nauczycielom szkół niższych, to wprowadzenie w życie zasady, że w zarządzie spraw szkolnych władze decydujące, powinny wysłuchać zdania i opinii samych nauczycieli. Zasada ta znalazła najpiękniejszy wyraz w odbytej niedawno w naszem mieście krajowej konferencyi nauczycielskiej. W konferencyi tej wzięli udział powołani do tego ustawą nauczyciele z różnych stron kraju pod przewodnictwem inspektora szkolnego p. Olszewskiego. Może znudzilibyśmy czytelników szczegółowem sprawozdaniem o tej bardzo ważnej, o pierwszej, a skutecznie odbytej konferencyi, więc poprzestajemy tylko na uwadze, że konferencya dobrze wywiązała się ze swojego zadania. Wypowiedziała ona swoje zdania w wielu ważnych sprawach admistracyjnych i pedagogicznych, a jej uchwały były cennym materyałem dla krajowej władzy szkolnej.

Że publiczność nasza żywo interesuje się postępem i rozwojem spraw szkolnych, dowodzi tego najlepiej pomyślny stan towarzystwa pedagogicznego. Galicya osławiła się w ostatnich czasach swoją niedojrzałą pochopnością do zakładania najrozmaitszych towarzystw, które przychodząc na świat z zarodem śmierci, nie mogły długo istnieć i upadały w bardzo krótkim czasie. Chlubny dla kraju wyjątek stanowi Towarzystwo pedagogiczne, które przetrwało wszystkie inne i daje liczne dowody żywotności, za co publiczność odpłaca się szczerym udziałem. Towarzystwo to jest rozgałęzione po całym kraju, gdzie filie jego obudzają życie i ruch nietylko w świecie nauczycielskim, lecz niemal w całej intelligencyi. Corocznie towarzystwo pedagogiczne urządza walne zgromadzenie w jednem z miast galicyjskich i załatwia na nim obok spraw wewnętrznego zarządu, także sprawy naukowe i dydaktyczne w gruntownych odczytach i zajmujących rozprawach ustnych. Tegoroczne walne zgromadzenie odbyło się niedawno w Przemyślu, a najbliższe zjedzie do Stanisławowa, którego prezydent już je tam zaprosił w imieniu miasta. *d. n.*

LIST DRUGI Z CHICAGO

w Ameryce północnéj.

Z LIVERPOLU DO NOWEGO YORKU.

przez

Sygurda Wiśniowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Pomiędzy panami na rafie, czyli części okrętu przeznaczonej dla kapitana, i osób przebywających w salonie, było kilku księży protestanckich, autor angielski p. Ashwort, którego powiastki i opowiadania z podróży po Palestynie dać słynne w Anglji i kilku kupców francuzkich osiadłych w Nowym Yorku. Księża angielscy o tyle tylko wmięszali się do rozmowy, by zapytać kto jestem, z kąd i dokąd jadę. Pan Ashwort (zbierający pewno jak i ja wrażenia podróżne) badał mnie szczegółowo o celach mej wycieczki. Wnet ni ztąd ni zowąd i religijne kwestye przyszły mu na język i poznałem w nim jednego z owych zagorzalców protestanckich, którzy czy z fanatyzmu, czy z braku lepszego zajęcia, odgrywają rolę niewyświęconych kapłanów, i narzucają się z morałami i kazaniami w domu, na okręcie, na ulicy, przytaczając wyjątki z pisma świętego. W dnie powszednie miewają kazania po ulicach i parkach miast wielkich, a w niedziele trapią dziatwę suchemi morałami w szkołach świątecznych. Pomimo religijności nie tracą zamiłowania do whisky (*) wina. Oporto, zupy żółwianej i płci pięknéj. Jak ów kaznodzieja w pamiętnikach *Pikwika* są typem Tartyffa protestanckiego. Pobożność ich zjednywa im rozgłos i urzęda publiczne; przestrzegają pilnie, by lud nie handlował w dzień święty—sami zaś okradają zgrabnie publiczną kassę.

Spostrzegłszy z kim mam do czynienia, wymknąłem się z jego towarzystwa i wróciłem pomiędzy grono jadących w mojej klasie. Tu wist i szachy więcej znalazły amatorów, jak moralne nauki pana Ashwortłi, a nawet panny jadące z nami wolały przyłączyć się do jakieś zabawnej gry w karty zwanej starą panną, w której cała sztuka zależy na pozostawieniu jednego z grających z damą w ręku. Gra nasza trwała nie długo, gdyż tłum nakarmionych wychodźców począł napełniać salę przed naszemi kabinami. Gładkość morza i spokojny bieg okrętu uzdrowiły chorych, wszyscy więc mogli użyć piękności jesiennego poranku.

Wspomniałem już iż pomiędzy gromadą tą było dużo Włochów i naszych Żydów. Ludzie ci rozpoczęli bez najmniejszej ceremonji porządkować swą toaletę na pokładzie.

Nie chcę powtarzać szczegółowo, jak się muskali, nadmienię jednak iż Niemcy, Anglicy i Francuzi, zebrali się tłumnie w około nich, by ujrzeć jak kobiety, czesząc jedna drugiej czarne i długie warkocze, wyczesywały publicznie, co się w nich znalazło. Mnie samemu, dawno już odzwyczajonemu od widoku lazaronów w Neapolu, niemiło się zrobiło na ten widok, nie mógłem więc ganić majtków, gdy zanieśli skargę do kapitana na Włochów i Polaków, żądając, by ich odłączono od innych podróżnych. W istocie kapitan rozkazał by się cisnęli w jednej części sali, tak by niechlujstwo ich nie spowodowało nieprzyjemnych skutków dla innych.

Nie mogłem odpowiedzieć inaczej na szyderstwa Anglików, z moich współrodaków jak ostremi słowy, pomimo iż przyznawałem w duszy, iż poczęści mieli słuszność, gdy ich nazywali bydlętami. Przy sporze jaki z tąd powstał dowiedziałem się, iż Włosi i nasi ludzie bez różnicy wyznania, bywają uważani za najbrudniejszych i najnieznośniejszych towarzyszów podróży na okrętach emigracyjnych!

(*) Wódka.

Oprócz różnicy w czystości, śledziłem z uwagą sposoby, jakiemi każda narodowość zapełniała dla rozrywki długie i nudne godziny podróży morskiej. Większa część Anglików lub zangliczonych, grała w karty i piła piwo. Zawikłana gra angielska zwana cribbage, najtrudniejsza ze wszystkich znanych mi, i przypuszczając a więcej kombinacyi jak wist nawet, miała najwięcej zwolenników. Gra ta zadziwi każdego cudzoziemca, choćby jej nie rozumiał nawet gdyż dowcipny sposób liczenia punktów i znaczenia ich kołkami wtykanemi w dziurki wyswidrowane w cienkiej deszczółce, zupełnie nieznana na kontynencie europejskim.

Gra ta powinnaby wejść w modę i pomiędzy innemi narodami będąc najmniej hazardowną a najbardziej wymagającą wyrachowania i pamięci ze wszystkich karcianych zabaw.

Włosi i żydzi leżeli powiększej części na pokładzie od ranka do wieczora. Majtkowie i inni podróżni stąpali po nich, piana morska często ich rosiła, lecz znosili to wszystko jakby czucia im brakło.

Jeden z oficerów zapewniał mnie, iż często wśród tęgiej burzy, gdy woda lała się ze wszech ston na pokład, ludzie ci, przemakają do nitki, lecz ani zimno, ani wilgoć, niezbudzą ich z leniwego otrętwienia.

Niemcy również w karty grali lub śpiewali. Kilku z nich namówiło trzech Włochów jadących z katarynkami do Ameryki, by im zagrali wcalca; były więc i tańce na pokładzie.

Francuzi skupieni w jednej części pokładu, zabijali czas grami dziecinnemi, w szukanie pierścionka, w ciuciu babkę i t. p. igraszki, te zajmowały ich całą uwagą. Przy każdej grze odbierano fanty i wymagano zwykłej kary od dziewcząt. Sposób delikatny i dowcipny w jaki te gry się odbywały, dowodził, iż nawet pomiędzy wyrobnikami francuzkiemi nie zbywa na takcie towarzyskim, cechującym większą część narodu.

Mogłem także studyować różnice narodowe na mych towarzyszach stołu i kabiny. Anglicy zajęci jakiemiś ćwiczeniami cielesnemi lub umysłowemi, silili się, by okazać wyższą siłę ręki lub przebiegłość. Niemcy gadali bez ustanku, zanim dzień upłynął wiedziałem już tyle o interesach ich jak oni sami.

Wychodźca świeżo opuszczający Germanią, wydaje mi się w pożyciu towarzyskiem najgłupszym ze wszystkich ludzi. Zbywa mu zupełnie na takcie Francuza, dumie Anglika lub przebiegłości Włocha. Gadatliwy bez dowcipu, chciwy bez odwagi w poparciu swych żądań siłą, chciałby udawać doświadczonego, a daje się wywieść w pole każdemu. Najbardziej mnie niecierpliwi zamiłowanie tych ludzi w robieniu zwierzeń.

Zegarmistrz jadący ze mną wyspowiadał mi się zanim trzy dni upłynęło, iż uciekł z domu, gdyż trzy lata służby, takby zniszczyły delikatność jego ręki, że później nie mógłby pracować w swym zawodzie. Czas jakiś pracował w Londynie przy robieniu chronometrów, teraz wyjeżdżał do Ameryki, by założyć sklep w St. Louis. Cały swój majątek wynoszący kilka tysięcy talarów, w złocie i banknotach angielskich miał przy sobie w kieszeni.

Ostrzegłem go, by tego ostatniego zwierzenia nikomu nie powtarzał, gdyż łacno postrada swój mająteczek, gdyby się który z Anglików jadących z nami o niem dowiedział, gdyż niejeden rzezimieszek londyński pewno towarzyszył nam nawet do Nowego Yorku.

Ostrzeżenie niewiele pomogło, nazajutrz przekonałem się, że i majtkowie wiedzieli, ile Niemiec wiózł z sobą pieniędzy.

Najbardziej interesującym towarzyszem naszym był stary Amerykanin, wracający z wizyty do Anglii. Nale żąc do owej klasy Yankesów, zwanej przez Niemców knownothings (nic niewiedzących), po całych dniach ganił wszystko co widział w Europie, a zachwalał urządzenie swego kraju według niego. Londynu nie można nawet przyrównać do Nowego Yorku, hotele europejskie wyglądały gorzej od karczem amerykańskich, wszystko u nas tak drobne, znikome i podłe iż nigdy już nie pragnął zwiedzać owej wychwalonej Europy..

— Jestem obywatelem zachodnich Stanów, powtarzał Anglikom bez ustanku, w których lat temu 50 i żywej duszy nie było oprócz Indyan. Pomimo to mogę widzieć w ojczyźnie mej więcej rzeczy pięknych lub ciekawych jak w waszej przestarzałej ziemi.

Oczywiście iż Anglicy wyszydzali tę zarozumiałość, mocno się zżymali gdy Yankee dowodził, iż jego miasta najpiękniejsze *na świecie*, jego prawa najlepsze *w świecie*, jego sposób gospodarowania najlepszy *w świecie* i t. p.

d. c. n.

Przegląd literacki.

Nieomylni, powieść Konrada *Bolandena*, przełożona z niemieckiego przez R. T. Warszawa 1874 r. in 8° str. 118.

W dalszym ciągu popularnego wydawnictwa pana Grajnerta, powyższa książeczka samym swoim tytułem wielce zaciekawia. O jakich-tonieomylnych mamy się dowiedzieć, kiedy dotąd wiemy jedynie o nieomylności *Ojca świętego*, jako głowy katolickiego Kościoła, a i to jeszcze pomiędzy samemi katolikami, nie wszyscy jasne o tej nieomylności mają wyobrażenie. Otóż Konrad Bolanden, a właściwie piszący pod tym pseudonymem, ksiądz Józef Bischoff, jak to szanowny wydawca w końcu książki objaśnia, w dziełku swojém na tle powieściowem zamierzył rzecz całą przystępnie wytłómaczyć. W tym celu przedstawia nam kilku pedantów, a właściwie zarozumialców niemieckich, którym się zdaje, że z otrzymanym na uniwersytecie, często kłamliwym, tytułem *doktora*, stają się nieomylnemi w rzeczach ich fachu dotyczących; następnie słowami prostemi i trafnemi wypowiada, jak rozumieć należy nieomylność papieża, nie mającą nic wspólnego z nieomylnością zarozumiałych doktorów. Stosownie do założenia są tu w komiczny sposób wyszydzeni: patentowany weterynarz, taksator gruntowy, mianujący się geologiem, uczony archeolog i ksiądz złych obyczajów. Zarozumiałych tych ludzi, którym zbywa nie tylko na prostym zdrowym rozsądku, ale co gorsza na uczciwości, upakarza prostaczek, ale zastanawiający się i umiejący korzystać z długoletniego doświadczenia, a upakarza w ten sposób, aby uwydatnił myśl autora, że zwykle ludzie, co siebie mają za nieomylnych, ośmielają się zaprzeczać nieomylności papieża i tłomaczą ją opacznie i mylnie.

Papież, jako człowiek może być słabym i ułomnym, może być nawet zbrodniarzem, jak o tem historya przekonywa, i wcale nie jest nieomylnym w rzeczach naukowych, świeckich; lecz w rzeczach wiary i obyczajów, gdy powstaje wątpliwość i nieporozumienie pomiędzy teologami, głos jego jest decydującym, jest sądem bez appellacyi—nieomylnością. Papież nie stanowi żadnych nowych dogmatów wiary, lecz sankcyonuje i wyjaśnia dawniejsze, gdy *duch czasu* w wątpliwość je podaje. „I tak w nieśmiertelność duszy zawsze wierzono, ale jako artykuł wiary, ogłoszono ją dopiero w 1215 roku, bo właśnie wtedy sekta Albigensów przeczyła temu wszystkiemu, co jest niewidzialne.“

Oto główna myśl katolickiego pisarza, którą dla uspokojenia sumienia wiernych, popiera słowami ojców kościoła, wyrokami soborów i wreszcie porównaniem ze *złotym kluczem*. O ile autor dopiął zamierzonego celu, nie do nas sąd należy, robimy tylko zastrzeżenie, aby humorystycznych obrazków, podających na pośmiewisko pedantów niemieckich, prostoduszny czytelnik nie brał za napaść i wyszydzenie nauki, która choćby z niej robili nadużycia niesumienni ludzie, nie przestanie być zawsze i wszędzie motorem postępu, a zatem i szczęścia ludów.

Co do poprawnośći przekładu, oraz swobodnego i obrazowego stylu, nieodłącznego od pism popularnych, nie mamy wiele do nadmienienia, przyjemnie byłoby nam jednak, gdyby poprawione zostały w tej książeczce niektóre niewłaściwe wyrażenia, albo wprost grzeszące przeciwko grammatyce, i tak np w kole *ojców gminy*; *zakradł mu się robak w umyśle*; w *dobrem* zastosowaniu do *pogodnej* piękności co jej się *nigdyindziej* nie *zdaża*; będzie chorować (ł); przystawiając *statek* dla wygodniejszego zejścia z wozu; Ewie nie chciał o nię (ą, o koszulę) mówić: bał się, że mu będzie przekładać (zam. przekładać będzie, albo będzie przekładała); panie jeometrze (geometro!); że tu rokrocznie *więź* (?) jest mała; z wachaniem (zam. wahaniem), i t. d. i t. d. Są-to wszystko drobne uchybienia, ale zawsze dobrzeby było, żeby nie szpeciły zkądinąd pożytecznej i zajmującej książki.

J. P.

Wiadomości bieżące.

Są tygodnie, w ciągu których sprawozdawca szukać musi górujących faktów i z trudnością je znajduje, są znowu inne z tak wybitną charakterystyką, że dość tylko wrażenia społeczne na papier przenieść, do liczby tych ostatnich należą upłynione tygodnie. Pożary i susza! Oto dwie klęski, które nas silnie trapią i poruszają, w obec nich bledną wszelkie inne wypadki.

Palą się miasta, osady i wsie, liczba i potęga pożarów jest istotnie przerażająca. W niektórych miejscach nawiedzonych przez groźną tę plagę, pozostała zaledwie czwarta część mieszkań, tysiące rodzin bez dachu i chleba cierpi wielką nędzę, wszystko wyszło z naturalnej kolei: wielu rzemieślników i drobnych handlarzy nie znajduje na miejscu pracy i smutna przyszłość zawisła nad licznemi rodzinami. Imaginacya, najruchliwsza z władz ludzkich, tworzy bajki i straszydła: tu ręka złoczyńców grozi całym osadom, tam słyszano proroctwa, owdzie pokazało się widmo, a co najboleśniejsza, że ludzie rozsądni ze swojej strony tworzą niedorzeczne przypuszczenia i głośno je powtarzają jak np. że to towarzystwa ogniowe na złość sobie robią i podpalają. Oto ciekawy specimen powtarzanej paplaniny, przeszkadzającej poszukiwaniu przyczyn rzeczywistych i środków zaradczych, skutecznych.

Powszechnie wiadomą jest rzeczą, że w porze dżdżystej, miasteczka i wsie prawie się nigdy nie palą, przeciwnie, im większa susza, tem częstsze pożary; przyczyna tego widoczna. Po deszczu można rozłożyć ogień na śmiecisku, a i ogień zgaśnie i śmiecisko się nie zapali; dziś po długiej suszy lada iskierka zapruszonego przypadkiem ognia, a w kilka minut zmienia je w ognisko buchające płomieniem. Podobnie palny materyał zapełnia włościańskie poddasza, otacza dom i wszystkie zabudowania, wzmagające się tym sposobem niebezpieczeństwo nigdzie nie jest uwzględnionem, kominy po dawnemu ze szparami, fajki i papierosy palą się między budynkami, dalej na poddaszach konopie, len, suche szmaty, zgromadzone jakby umyślnie czekają na pierwszą iskrę, aby spowodować straszne nieszczęście. Oto jest widmo, grożące pożarem, oto stan rzeczy, który każdemu rozsądnemu człowiekowi pozwala być prorokiem. Dwóch nas mieszkańców Warszawy, czekając na pociąg przypatrywało się zabudowaniu Berdyczowa, na parę dni przed pożarem i przepowiedzieliśmy co się stanie, wiele ulic czekało na pierwszą iskrę, aby wybuchnąć płomieniem, musiało się doczekać i doczekało się.

Tę-to przyczynę pożarów należy usunąć, a palić się będzie daleko rzadziej i pożary będą mniej niszczące. Potrzeba oczyścić poddasza z palnego materyału, od budynków odsunąć śmieciska, zachować ostrożność z ogniem na dworze, a połowa będzie zrobiona. W miastach, gdzie nie ma wody, potrzeba wykopać liczne i głębokie studnie i gdzie można urządzić straż ogniową, dachy kryć dachówką lub kalenicą i przypierać je szczelnie do budynku, aby na poddaszach nie tworzyło się przeciągów, lada iskrę w płomień rozdmuchujących, oto druga połowa środków zaradczych.

Nieszczęśliwe pogorzele wykazały dobrą stronę natury ludzkiej, ofiary jak na nasz biedny kraj, były dość znaczne: młodzi uczniowie konserwatoryum muzycznego dali koncerta, artyści teatrów ogródkowych dwa przedstawienia, a był-to grosz niemal wdowi, osoby prywatne nadesłały i nadsyłają liczne datki, ale jałmużna nie będzie nigdy wielkim środkiem społecznym, jej wpływ jest jednorazowy. Zatamowanie źródła złego, pod wpływem wrażenia jakiegośmy doznali, byłoby zbawiennym owocem, na licznych zgliszczach zebranym.

Kiedyśmy się pytali naszych znajomych w Siedlcach, czy ich domy ocalały, jeden z nich doniósł nam co następuje: mój dom zapalił się na kilka minut przed przybyciem straży warszawskiej, dalszego rozszerzenia się ognia na sąsiednie domy pp. K. i G., p. Skowroński nie dopuścił, oto co robi dobra straż ogniowa, nawet wśród tak rozhukanego żywiołu. W domu drewnianym, którego powała dobrze jest gliną zamazana, dach kryty kalenicą i zupełnie szczelnie przystający, można na poddaszu rozłożyć ogień, ogień wkrótce zdusi się, a dom się nie zapali, oto znowu skutki dobrych dachów.

Wołać ze wszech stron wypada, aby dzisiejsza klęska, choć jednę reformę wprowadziła, niech tylko wprowadzi się szczerze, a skarżyć się nie powinniśmy żeśmy za nią drogo zapłacili.

Susza dzisiejszych naszych nieszczęść sprawczyni, jak utrzymują ludzie doświadczeni, jest karą za wycięcie lasów; czy tak jest w rzeczy samej, nie chcemy się rozwodzić, same fakta za nas przemawiają.

SZKIC
LITERATURY ROSSYJSKIEJ.
(Ustęp z dzieła Konstantego Petrow p. t. Obraz literatury rossyjskiej).

III.

WIEK XVI.

Rossya południowa i zachodnia.

(Ciąg dalszy).

W Rosyi południowej i zachodniej do szerzenia oświaty najwięcej przyczyniły się bractwa religijne; zakładane z początku jedynie w celach filantropijnych, zaczęły później troszczyć się nie tylko o potrzeby ciała, ale i o potrzeby duszy i umysłu. W tym celu zakładały one szkoły i drukarnie.

Pierwszą szkołę założył w roku 1580 w Ostrogu, Konstantyn książe Ostrogski, a drugą w Kijowie, metropolita Piotr Mogiła, ta już w roku 1631 stanęła na wysokim stopniu świetności, a na początku XVIII wieku została zamieniona na uniwersytet, w którym wykładano teologią, filozofią i retorykę. Teologia była tu wykładana według zasad scholastycznych; jest-to system ściśle trzymający się form, ale nader ubogi co do treści; według tej zasady każdy dogmat wiary rozważany był dwustronnie, ze stanowiska pozytywnego i polemicznego.

W wykładzie filozofii trzymano się systemu Arystolesa, celem wtajemniczenia uczniów w użycie dyalektyki. Arystoteles, Cyceron, Kwintylian, były-to powagi w dziedzinie retoryki, której znajomość ograniczała się do układania przemówień, powinszowań, mów powitalnych, dziękczynnych i pogrzebowych, próśb, listów pożegnalnych i t. p. Wykładano także język słowiański i łaciński, inne zaś nauki tylko w zakresie niezbędnym do nauki teologii.

Jako książki budujące i przeznaczone do czytania w kółkach rodzinnych, scholastyczni, ówcześnie autorowie pisywali dzieła różnej treści, po większej części czerpane z literatur Europy zachodniej i z apokryfów ruskich. Najwięcej rozpowszechnioną była *Księga Cudów*, która w następstwie ułożona została wierszem. Pisane wówczas poemata bywały zawsze treści religijnej, lub osnute na wydarzeniach z życia carów i ich rodzin. Smutne lub wesołe fakta z życia monarchów i dostojników dworu, dostarczyły także faktów do poezyj lirycznych, w których najsześciej opisywano herby osoby, której były przypisane. Ztąd wzięły początek owe ody pochwalne, pisane na cześć różnych znakomitości, tak cenione i rozpowszechnione w Rossyi w ciągu XVIII wieku.

Wszystkie takie poezye, nazwane z polskiego *wirszi* pisane rytmem syllabicznym, którego jednostajna kadencya nie odpowiada naturze języka rossyjskiego. Jest-to wprost naśladownictwo literatury polskiej.

Ludowe pieśni rossyjskie były w tej epoce zupełnie zaniedbane, jako nacechowane poganizmem. Na pierwszym planie stały dramata religijne, jak najprzystępniejsze dla mass i silnie oddziaływające na wyobraźnią.

Te dramaty przyjęte zostały z Kościoła Zachodniego, który wprowadził je w celu odwrócenia uwagi ludu od widowisk pochodzenia pogańskiego. Dzielą się one na dwa rodzaje, na mysterye i dramata moralne.

Pierwsze przedstawiają dramata czerpane z historyi świętej, jak np. Narodzenie Chrystusa Pana, Jego podróż na osiełku, mękę i ustępy z żywota, wsadzenie trzech Hebrajczyków do gorejącego pieca w Babilonie, i t. p.

Osoby występujące w dramatach moralnych były uosobieniem przymiotów lub istot abstrakcyjnych, życia, śmierci, aniołów, miłosierdzia, sprawiedliwości, prawdy; role zasadzały się na dyalogu.

Oto jedyne nowości i postęp, jaki się okazał w piśmiennictwie Rosyi zachodniej podczas XVII stulecia; widzimy, że po większej części zasadzał się na naśladowania i przekładach z literatury zachodniej i polskiej. Oprócz utworów treści religijnej, pojawiły się jeszcze przekłady z polskiego różnych powieści moralnych, zabawnych anegdot, romansów i powieści rycerskich. Do bardzo rozpowszechnionych zalicza się *Królewicz Bowa*, z włoskich romansów rycerskich, oraz muromska legenda o *Księciu Piotrze i Księżnej Fewrozyi*. W tej epoce żywioł rossyjski prawie nie pojawiał się w piśmiennictwie; pokazało się zaledwie kilka pism oryginalnych, żadnego nie mających wpływu.

Z pisarzy scholastycznych odznaczyli się Izajasz, metropolita Kijowski, Łazar Baranowicz i Joannicyusz Goliatowski.

WIEK XVII.

Gdy Boris Godunow zasiadł na tronie, zapragnął podnieść cywilizacyą w Rossyi i starał się o rozkrzewienie nauk. Dla urzeczywistnienia tych zamiarów, umyślił założyć w Moskwie uniwersytet, i w tym celu sprowadził uczonych cudzoziemców. Po jego śmierci klęski bezkrólewia boleśnie dały się uczuć Rossyi, i tylko energiczne usiłowania patryrrchy Filareta, uchroniły ją od zupełnego rozprzężenia.

W owej epoce ludy południowej i wschodniej Rosyi, prowadziły wojnę z Turcyą i z Polską; era pokoju nastała dopiero z wstąpieniem na tron Aleksego Michałowicza, który rozbudził nieco działalność literacką.

Głównem zajęciem duchowieństwa od czasu synodu stu rozdziałów, było poprawianie ksiąg świętych. To postanowienie ogólną obudziło niechęć i niezadowolenie. Obrońcy starych ksiąg, opierając się na powadze starodawności, nie chcieli słyszeć o żadnych zmianach, uważali za odszczepieńcow korrektorów wyznaczonych przez władzę. Odtrącali upornie nowe księgi, co ściągnęło na nich prześladowanie; jedni zostali wygnani, inni sami uciekali unosząc stare księgi. Odłączywszy się od reszty współziomków i Kościoła, starali się gromadzić w jednych miejscowościach i połączyć swe usiłowania, aby zjednoczeni utrzymać swą władzę i usprawiedliwić swe odstępstwo w oczach narodu.

Z początku chodziło tylko o zmianę niektórych słów i wyrażeń, następnie zmiany większych dosięgły rozmiarów, a nareszcie rozciągnęły się do rytuału obrzędowego i praw biskupów, które dyssydenci starali się ograniczyć. Taki był początek roskolników czyli odstępców od prawosławia. Liczba ich zwiększała się nieustannie; zamieszkiwali najchętniej w miejscach oddalonych od punktów zaludnionych, tworzyli konfraterye, budowali sobie małe domki i obstawali zacięcie przy używaniu starodawnych ksiąg przepisywanych i zachowywaniu dawnych zwyczajów, tak religijnych jak w domowem życiu.

Niechętni wszelkim nowościom zaprowadzonym w Moskwie, niezadowoleni z usiłowań rządu o rozszerzanie cywilizacyi, kazali się obawiać czynnego z swej strony oporu przeciw rozporządzeniom władzy duchownej i świeckiej. Znany patryarcha Nikon, który tak wielki wpływ wywierał na cara Aleksego Michałowicza, przedsięwziął energiczne przeciw roskolnikom środki; zabrano im stare księgi, rozdano nowe, stronników przeszłości osadzano w więzieniach—daremnie. Widząc bezskuteczność gwałtownych środków, próbowano bronić prawosławia bronią scholastyczną, i wtedy-to pojawiły się pisma polemiczne, wiersze rymowane i dramaty religijne.

Za panowania Aleksego Michałowicza, po przyłączeniu Mało-Rossyi do korony moskiewskiej, wielu uczonych zostało zawezwanych z Kijowa do Moskwy, ci przeważający dotąd kierunek bizantyński zastąpili wpływem wynikającym z cywilizacyi polskiej, Nowy ten kierunek podlegał tymże samym błędom, co i poprzedni, to jest, że przyjmował to tylko, co mogło posługiwać, głównie mianym na względzie celom religijnym, zaniedbując inne gałęzie nauk rozwijających się w Europie w szesnastem i siedemnastem stóleciu. Punktem wyjścia literatury scholastycznej w Moskwie, było przybycie tamże Symeona Połockiego, przeznaczrnego na guwernera następcy tronu, Teodora Aleksiejewieza.

Symeon Połocki był-to człowiek światowy, światły i wymowny. Zbijając dowodzenia dyssydentów, napisał *Berło rządowe* oraz dwa zbiory kazań, a następnie komedye *Syn marnotrawny* i król *Nabuchodonozor*. Psalmy ułożył wierszami i wiele innych napisał poezyj. We wszystkich tych jego utworach przebija jedna myśl przewodnia, dowodząca potrzeby cywilizacyi, która sama tylko może rozproszyć ciemnotę, nieokrzesanie i gburowatość obyczajów, i wytępić zastarzałą wiekami rutynę. Za przedmiot do kazań brał zazwyczaj wychowanie, zabobony i rozdwejenie zaszłe w łonie kościoła.

Drugim znakomitym uczonym przybyłym z Kijowa do Moskwy, był Epifaniusz Sławinecki, który nader czynnie dopomagał Nikonowi w poprawianiu ksiąg świętych. Z upoważnienia patryarchy Nikona, wprowadził w Moskwie zwyczaj przemawiania w kościołach do ludu, za pomocą kazań. Zwyczaj ten istniał i zachowywany był w Rosyi do XV wieku, dopiero skutkiem braku oświeconych kapłanów został zaniechany i zastąpiony czytaniem ustępów czerpanych z Ojców Kościoła.

Równie zaciętym przeciwnikiem roskolników był Demetriusz metropolita Rostówski. Wydał dzieło p. t. *Badania*, w których rozbiera ich wiarę, doktryny i sposób życia. Obok tego pisał wiersze i dramaty religijne.

Dyssydenci odpowiedzieli na rzucone im wyzwanie, to też ich literatura obfituje w dzieła dogmatyczne i historyczne. W pierwszych przedstawiają i bronią swych zasad; w drugich opisują swe walki z kościołem panującym i okoliczności, jakie spowodowały ich odstępstwo. Najpłodniejszym z ich pisarzy był arcy-kapłan Awakum, który napisał przeszło trzydzieści dzieł; z tych najwięcej zajmującą jest własna jego biografia.

Jakkolwiek w gruncie filozofia scholastyczna bardzo niewielkiemi poszczycić się mogła wiadomościami, a jej zasady dyalektyczne nader były ograniczone, jednak nie można odmówić jej tej zasługi, iż najpojętniejszych ówczesnych ludzi przekonała o niezbędnej potrzebie nauki, kiedy właśnie w ogóle rozpowszechnionem było mniemanie, że wszekie swobodne dochodzenie w dziedzinie nauki było nader szkodliwem i z tego tytułu powszechnie potępianem;

W owej epoce duchowieństwo rossyjskie wielkie usługi oddało narodowi, już samym zbawiennym przykładem, jaki przedstawiało bezinteresowne i nieskażone życie wielu jego członków. Nadto przyczyniło się ono czynnie do rozproszenia ciemnoty, w jakiej lud zostawał pogrążony, przez niezmordowaną wytrwałość w udzielaniu mu nauk i napomnień, w rozpowszechnianiu książek budujących, tak tłomaczonych jak oryginalnych. Nieprzeniknioną ciemnotą i barbarzyństwo byłyby ogarniały całą Rossyę aż do XVIII wieku, i Piotr Wielki byłby napotkał jeszcze większe trudności w zastosowaniu i przeprowadzeniu zamierzonych reform i ulepszeń, gdyby płodna w następstwa działalność średniowiecznych duchownych rossyjskich, nie przygotowała gruntu.

Piśmiennictwo rosyjskie, które po za granicami ruchu religijnego, wzbogacało się dotąd tylko przekładami powieści i anegdot dokonywanych z polskiego, ku końcowi XVII wieku mogło już pochlubić się oryginalnemi tego rodzaju utworami.

Z początku opowieści te przybrały cechę nauczającą i zawsze wchodziły jakieś tajemnicze potęgi wywierające czarodziejski wpływ na bohaterów, jak np. w powieściach o kupcu Bassarga i o Sawie Gruczynie.

Powieścią prawdopodobną, zaczerpnią z rzeczywistego życia bez domieszania nadprzyrodzonych przygód, jest *Historya o szlachcicu rossyjskiem Frola Skobejew*, który z biedaka stał się bogaczem i zaślubił Anusię córkę słynnego Nardina Nastszokin, domownika i faworyta cara. Rodzice żony przebaczyli Froli i nareszcie przekazali mu cały swój majątek.

Treść jest hardzo prosta; osób wchodzi niewiele, charaktery ich wybitnie skreślone; w książce tej znaleźć można wierne zarysy ówczesnych obyczajów.

Powieść ta jest jednym z rzadkich w tej epoce utworów oryginalnych, płodnej w same tłómaczenia.

D. c. n.

Wiadomości biblijograficzne.

— *Powolanie*, powieść P. Wilkońskiej. Lwów, dwa tomy w jednym, uważa się jako wchodzące w skład Biblioteki najciekawszych powieści i romansów, wydawanych we Lwowie. Cena rs. 1 kop. 65.

— *Wędrówki Delegata*, szkice humorystyczno-obyczajowe, przepisał Jordan (serya I i II-ga). Wędrówki te budząc w swoim czasie wielkie zajęcie czytelników „Tygodnika Illustrowanego,“ wyszły teraz w osobnej odbitce i kosztują rs. 1 kop. 50.

— Jednego z pierwszych powieścio-pisarzy naszych T. T. Jeża (Miłkowskiego) wyszły również w oddzielnej książce *Ofiary*, drukowane poprzednio w „Wieku.“ Tomów dwa. Cena rs. 1 kop. 80.

— Dla posiadaczy większych ogrodów w mieście lub na wsi, wielce przydatną jest książka p. n. *O uprawie wina w ogrodach* przez M. Czepińskiego, autora *Powszechnego ogrodnictwa*, znającego rzecz swoją nie tylko z teoryi, ale i z praktyki. Cena kop. 60.

— Gospodarstwa lasowego (?) części pierwszej Użytkowanie lasu, rozdział I-szy: *Cięcie lasu* przez Henryka Strzeleckiego. Lwów. Cena rs. 1 kop. 20. Jestto wykład na tamecznych kursach leśnictwa.

— Językiem barwnym, ognistym, namiętnym, odznacza się poemat pana Bogumiła Aspisa p. t. *Sulamita*. Wyjątki z tego poematu zamieszczone były w niektórych naszych czasopismach, a całość odczytaną została przez autora na publicznej prelekcyi mianej w Warszawie. Przedmiot tych *pieśni wschodnich* stanowi nieszczęśliwa miłość pięknej Sulamity wziętej do haremu Salomona.

— Ustawa o powinności wojskowej, Najwyżej zatwierdzona d. 1 Stycznia 1874 roku in 16° str. 96; główny skład w księgarni Breslauera w Warszawie. Cena 15 k.

— Do poważnego i wielce nauczającego czytania, zaliczyć nam wypada pracowitc i z talentem napisane studyum literacko-historyczne p. t. *Wallenstein* przez Edwarda Lubowskiego. Praca ta poprzednio zamieszczona była w zeszytach „Biblioteki Warszawskiej.“ Cena 50 kop.

— Z innej zupełnie sfery i w innym zupełnie przedmiocie napisana jest rozprawka p. Bronisława Rejchmana p. t. *Jędrzej Śniadecki i Darwin*, przyczynek do dziejów pismiennictwa naukowego, polskiego. Młody ten uczony myśli jasno i gruntownie, a chociaż wiernym jest stanowisku, które pierwotnie zajął, samodzielnie postępuje jednak po drodze wiodącej do poznania prawdy, dowodem tego broszurka, którą wymieniliśmy. Cena jej kop. 30.

Przyjaciel Dzieci wyszedł z druku i zawiera:

Welocypedy (z drzeworytem. — Rozbitki na Szpicbergu (Ciąg dalszy). — Śpiew konwalii (wiersz) — Listy z wakacyi. — Liwingston. — Wydobywania asfaltu. — Odpowiedzi od Redakcyi. — Szarada. — Zagadnienie arytmetyczne. — Znaczenie szarady. — Objaśnienie zadania gramatycznego. — W Dodatku: Z pierwszéj podróży Maryni i Janka (z drzeworytem). — To jutro (wiersz). — W starych ruinach. — Gniazda Termitów (z drzeworytem).

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Druk E. Skiwskiego, w Warszawie, Elektoralna Nr 758 (28 nowy). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.**

Dodatek.